

Czas

Przełożyla Iza Zając

Miał czterdzieści trzy. Niedawno. Osiągnął wiek, który dla kogoś innego mógłby być małym cudem. Dla niego na pewno. Kiedy w dniu swoich urodzin wznosił toast przed lustrem w łazience, z respektem pokiwał nad tym głową. Kolejnym cudem wydawało mu się to, że choć niczego nie ma... to jest zdrowy. Przez ostatnie dziesięć lat nie złapał nawet kataru. Nie ma powodów do narzekań, twierdzi, że wynika to ze stylu życia i posiadanych poglądów, ale dla jego rodziny to nic nie znaczy. Na wieczorku mikołajkowym ojciec powiedział mu, że choroby są częścią człowieka, odbiciem rzeczywistości w nas, a jeśli tak długo nie chorował, to też coś znaczy. Zapytał ojca, co ma na myśli. Był ciekaw, ale nie otrzymał odpowiedzi wprost, że jak komuś nie zależy na pieniądzach i majątku, to nie żyje. Być może, szepnął ojcu do ucha. Nie rozumiał, jaki to ma związek z tym, że przez dziesięć lat jest zdrowy. Do dziś nie wie, czy ojciec przestał z nim rozmawiać z powodu jego stosunku do pieniędzy, czy dlatego, że w ciągu ostatnich dwóch lat spędził wiele czasu w szpitalach i sanatoriach.

Rodziców odwiedza w Boże Narodzenie i ich święta. Matka zawsze się cieszy. Kiedy mają wspólnie zasiąść do stołu, nie odmawia, ale ojciec nie pojawia się, zamyka się w swoim pokoju i czeka, aż syn wyjdzie.

Regularnie przenosi się z miejsca na miejsce. Czasami nawet przyjaciele nie potrafią go odnaleźć, dopóki sam się nie odezwie tuż przed Wigilią. Mieszkał już w wielu dzielnicach, początkowo pieniądze pozwalały mu wybierać przestronne mieszkania. Z czasem stopniowo rezygnował ze swoich wymogów. Im był starszy, tym mniejsze były jego mieszkania. Kurczyły się, a on traktował to jako naturalną drogę do śmierci.

Od kiedy wprowadził się do tego mieszkania, myśli, że to jego ostatnie. Mniejszego już by nie znalazł. Nazwał je Stacją Końcową. Siedzi w nim i czeka.

Czas. Ma go pod dostatkiem. Więcej niż cała rodzina razem wzięta. Więcej niż przyjaciele i ludzie z domu. Czas. To jego majątek. Udało mu się osiągnąć poczucie, że nikt mu go nie kradnie, że zapanował nad nim.

Nie ma przełożonych ani podwładnych. Całymi dniami może czytać i pisać swoje książki, a rodzice nie mogą mu tego wybaczyć, bo prawie nic za to nie dostaje. Bo książki słabo się dziś sprzedają.

Zbiera naczynia z podłogi, robi dwa kroki od łóżka i już jest przy umywalce. Wraz z jednopalnikową kuchenką stojącą na krześle uważa to za aneks kuchenny. Ascetycznie. Można powiedzieć, że to go cieszy, że tego chciał, że to był jego pomysł.

Po rozwodzie sąd przyznał wszystko żonie. Dom, który on kupił, samochód, który on kupił, i córki, które on zrobił. Ona nie pracuje, nie musi gotować ani sprzątać.

Ma sprzątaczkę i kucharkę w jednej osobie, a żeby dobrze wykorzystać czas, z którego ani sekundy nie poświęca nikomu z rodziny, przeciągnęła na swoją stronę wszystkich znajomych, a nawet sprzątaczkę. On płacił. Sądy są sprawiedliwe.

To, co sąd był łaskaw mu zostawić, stopniowo topniało. Ale w tym czasie mógł bez przeszkód pisać. Trochę kupił czasopisma, trochę wydawnictwa. Żaden wielki sukces, nieregularne wypłaty honorariów... Ale w końcu robił to, czego zawsze chciał. Zlikwidował firmę. Nie mógł już żyć jak wcześniej. Luksus zawłaszczyła sobie żona. Jemu została druga strona medalu. Postawił na minimalizm, bo z tego nie da się już uszczknąć. Przeciwna skrajność. Z wielości brali wszyscy: państwo, żona, córki. A on już nie chciał bezsensownie rozdawać.

Przestał przyjmować zlecenia, z których regularnie co miesiąc miał im wszystkim płacić. Odrzucał szczodre oferty własnego ojca. Nie chciał zarabiać więcej, niż wynosiło określone przez państwo minimum. Z tego prawie nic nie musiał oddawać. Dlatego woli siedzieć i czekać.

Myślał, że ukarze żonę, jeśli będzie dostawać od niego tylko parę groszy, ale już w miesiąc po rozwodzie to ona go ukarała, wychodząc za jego przyjaciela, a po kilku latach znów się rozwiodła. A sądy są sprawiedliwe.

Z czasem córki dorosły i opuściły kontynent. Ona to załatwiła. Mogła sobie na to pozwolić. Jemu odpadło płacenie alimentów, ale córek tak szybko nie zobaczy. Nie piszą. Nie dzwonią. Nie znoszą go. Ona to załatwiła. A on jej w tym pomógł, oferując im jedynie swój czas, siebie, kiedy były małe. Zbyt im na tym nie zależało, nie bawiło ich chodzenie z biednym tatusiem do parku, na spacerzy do pobliskich lasów, nie interesowały ich książki, o których tak namiętnie opowiadał. Domagały się nowych butów, życia pełnego niespodzianek.

Brak pieniędzy dał mu wolność. Nie może się nigdzie wybrać. Nie może sobie niczego kupić. Nie może nikomu pomóc. A właściwie to komu miałby pomagać? Nikt nigdy nie potrzebował tego, co miał do zaoferowania. Nikt nie chciał zwykłego czasu, wszyscy chcieli czasu przemienionego na pieniądze. Zdecydował, że jego czas nie jest na sprzedaż. Dlatego siedzi i czeka.

Otwiera okno. Słyszcąc ptaki na przeciwległym dachu i wybuch gdzieś w oddali – aż szyby zadrżały. Zachmurzone niebo, szare chmury przesuwają się nad Karpaty. Zaciąga zasłonę i notuje coś w dzienniku.

Następnego ranka wyjmuje ze skrzynki ulotkę. Informuje ona o spadku tolerancji.

Wchodzi do banku. Tak czy inaczej czasami potrzebuje pieniędzy. W okienku siedzi młoda kobieta, uśmiecha się do niego. Przedstawia się, a kiedy jego dane pojawiają się na monitorze, zmienia się wyraz jej twarzy. Odmawia wypłaty kwoty podanej na wypełnionym świstku. Niewysokiej.

Siedzi na ławce w kolorach banku, który opuścił. Park ma atmosferę. Otwiera pudełko papierosów. Pali. Przypomina sobie dzień rozwodu, wtedy rzucił palenie. Odfamany filtr leży na kolanie. Po każdym zaciągnięciu się dymem wypływa tytoń, który zostaje na języku. Zaczyna zastanawiać się nad zmianą, ale ta wizja przyprawia go o dreszcze.

Wieczorem nie może pisać. Z pudełka po butach owiniętego kilkakrotnie grubą taśmą samoprzylepną, którą musi usuwać nożem, wyjmuje oprawiony w skórę notatnik z numerami telefonów i wizytówkami. Zużył całą kartę i wypalił wszystkie papierosy. Po podłodze walają się filtry i telefon. Nie sposób wywietrzyć zadymionego mieszkania. Powietrze ani drgnie. Boli go ucho. Kładzie się. Wstaje. Wyjmuje butelkę wina z niskiej lodówki. Jest w połowie pełna, otworzył ją sześć miesięcy temu, kiedy odwiedził go Martin. Nie przeszkadza mu to. Otwiera ją, nawet nie wacha, żeby sprawdzić, czy wino nie jest zepsute i wlewa płyn do gardła. Ciało jest znieczulone, butelka wypada z dłoni. W prawym uchu dzwoni coś, czego nie potrafi określić. Chce opuścić Stację Końcową. Chce korzystnie sprzedać swój czas.



Zdjęcie Maciej Czerwonka



Zdjęcie Maciej Czerwonka